

POLSKIE TOWARZYSTWO ORIENTALISTYCZNE

PRZEGLĄD ORIENTALISTYCZNY

Kwartalnik



Nr 1(25)

WARSZAWA

1958

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

SPIS TREŚCI

ARTYKUŁY

Janusz Chmielewski, <i>Witold Jabłoński</i>	3
*	
Ananiasz Zajączkowski, <i>Refleksje pokongresowe</i>	17
Bogusław Mrozek, <i>Powstanie systemów zamindari i rajjatwari w rolnictwie indyjskim na przełomie XVIII i XIX wieku</i>	45

UTWORY LITERACKIE

Sait Faik Abasıyanık, <i>Białe złoto</i> (z tureckiego przełożyła Stanisława Rymkiewicz)	61
Abd ar-Rahmān asz-Szarkāwī, <i>Małe marzenia</i> (z arabskiego przełożył Józef Bielański)	71
<i>Bajki ludu hausa</i> (z hausa przełożyła Nina Pilszczykówna)	77

ZAGADNIENIA TRANSKRYPCYJNE

Tadeusz Andrzejewski, <i>W sprawie polskiej transkrypcji wyrazów egipskich</i>	85
--	----

MATERIAŁY I NOTATKI

<i>Karykatura w prasie tureckiej</i> (p.t.)	95
---	----

RECENCJE

Z KSIĄŻEK	
Wiesław Kotański, <i>Z najnowszej literatury japońskiej</i>	101
*	
<i>Antologia literatury chińskiej</i> (Tadeusz Żbikowski)	106
<i>Nazim Hikmet, Pieśni pijących słońce</i> (Jan Reychman)	107
L.O. Alkaewa, <i>Tworczestwo Chalida Zii Uszaklygilija</i> (Tadeusz Świętochowski)	110
T.A. Szumowski, <i>Tri niezwiastnyje lociji Ahmada ibn Madżida arabskiego locmana Vasco da Gamy</i> (Włodzimierz Zajączkowski)	112
<i>Rubā'iyāt-i Hayyām</i> (Franciszek Machalski)	113
NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE	115

KRONIKA

Witold Armon, <i>Kilka słów o prof. Dietrichu Westermannie</i>	119
Prof. dr Ludwik Piotrowicz	121
*	
Z ruchu naukowego na polu orientalistyki <i>Kronika Uniwersytecka</i>	122

<i>Spotkania międzynarodowe orientalistów</i>	122
<i>Wykład polskiego orientalisty na Uniwersytecie w Jerozolimie</i>	124
<i>Wyjazdy zagraniczne polskich orientalistów</i>	124
<i>Wizyta chińskich językoznawców, prof. Wang Li i prof. Kao Ming-k'ai</i>	125
Z wydarzeń kulturalnych	
<i>Wystawa sztuki Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej</i>	126
<i>Wieczór twórczości ludów afrykańskich w Krakowie</i>	127
<i>O Czechosłowackim Towarzystwie Orientalistycznym</i>	127
<i>Powstanie Towarzystwa Orientalistycznego w Rumunii</i>	127
<i>Z działalności Amerykańskiego Towarzystwa Orientalistycznego</i>	128
Z wydarzeń na współczesnym Wschodzie	128

SPIS TABLIC

Do art. J. Chmielewskiego, <i>Witold Jabłoński</i>	TABL. I — II
Do art. A. Zajączkowskiego, <i>Refleksje pokongresowe</i>	TABL. III — IV
Do art. B. Mrozka, <i>Powstanie systemów zamindari i rajjattwari w rolnictwie indyjskim XVIII i XIX w.</i>	TABL. V — VIII

*

Winiетка na okładce przedstawia hebanową figurkę, wykonaną przez artystę ludowego z Afryki Północnej.

СОДЕРЖАНИЕ

СТАТЬИ

Януш Хмелевски. <i>Витольд Яблоньски</i>	3
*	
Ананьяш Зайончковски. <i>Впечатления после конгрессов</i>	17
Богуслав Мрозек. <i>Возникновение систем „заминдари“ и „райятвари“ в сельском хозяйстве Индии на рубеже XVIII и XIX веков</i>	45

ЛИТЕРАТУРНЫЕ ПРОИЗВЕДЕНИЯ

Сант Фаик Абасыянык. <i>Белое золото</i> . Перевод с турецкого Станиславы Рымкевич	61
Абд ар-Рахман аш-Шаркави. <i>Небольшая мечта</i> . Перевод с арабского Юзефа Белявского	71
<i>Сказки народа хауса</i> . Перевод с хауса Нины Пильщиковой	77

ВОПРОСЫ ТРАНСКРИПЦИИ

Тадеуш Анджеевски, <i>К вопросу польской транскрипции египетских слов</i>	85
---	----

МАТЕРИАЛЫ И ЗАМЕТКИ

<i>Карикатура в турецкой печати (п.т.)</i>	95
--	----



SAİT FAİK ABASIYANIK

BIAŁE ZŁOTO

Sait Faik Abasiyanik urodził się w 1907 roku w Adapazar. Po ukończeniu szkoły średniej w Brusie udał się na studia wyższe do Francji, na uniwersytet w Grenoble. Zarówno studia, jak i pobyt we Francji odegrały wielką rolę w kształtowaniu się jego poglądów, charakteru, a nawet i talentu.

Po powrocie do Turcji przez pewien czas jest nauczycielem, potem zajmuje się handlem, równocześnie zaczyna pisać.

Opowiadania swe drukuje najpierw w tygodniku „Varlık”, a w 1935 roku wydaje pierwszy zbiorek pt. *Semaver*. Od tego czasu ukazało się szereg zbiorów opowiadań, między innymi: *Niepotrzebny człowiek*, *Ostatnie ptaki*, *Kawiarnia*, *Cysterna*, *Chmura w przestworzu*, *Samowar*, *Towarzystwo*, *Przy basenie*. Wydał również powieść pt. *Grupa ludzi*.

Dwie są charakterystyczne cechy jego twórczości. Po pierwsze opisy jego cechuje obrazowość i barwność, a po drugie autor podaje fakty nie zabarwione własnym uczuciem czy myślą, pozwalając czytelnikowi na snucie wniosków takich, jakie jego psychice odpowiadają. Nie ma w jego utworach dydaktyki czy jakiegóż tendencji — jest wytyczonych szereg dróg, którymi myśl czytelnika może iść, jest wiele wniosków, które można wyciągnąć z jednego krótkiego opowiadania.

St. R.

Tu, gdzie obecnie mieści się kino i budynek partii, znajdował się ongiś cmentarz, którego drzewa strzelały ku niebu, a trawy sięgały chmur. Na pokrytych ciemnym mchem marmurach, na których można było odczytać słowa wiecznego pożegnania, pośród cyprysów, szczwołu i pokrzyw rysowały się marmurowe, zdobne chwastami fezy i olbrzymie zawoje.

Po tym zakątku, w nocy fosforyzującym jak morze, w dzień uganiały się dzieci; rosłe wyrostki wdrapwały się na orzechowe drzewa, handlarze chałwą i chłodzącymi napojami z winogron i prosa, drzemali wsparci na marmurach.

Tuż naprzeciw cmentarza wznosiły się magazyny towarowe o kamiennych fasadach oraz dom handlowy, szeroki około 5 metrów, długi na 30 metrów, należący do Eskidzi zade Nedima. Wydzielone trzymetrowe pomieszczenie stanowiło kancelarię. Siedział tam człowiek tęgi, średniego wzrostu, o chytrym wyrazie twarzy. Jakbym dziś widział go, jak pije kawę, robiąc jednocześnie jakieś notatki. Człowiek ten spoglądał na kamienie i cyprysy cmentarza bez wzruszenia i lęku przed śmiercią.

Pewnego dnia, w czasie wojny światowej, kiedy w piekarniach miasteczka sprzedawano chleb kartkowy, a po ulicach wałęsały się głodne psy, ludzie kulawi, ślepi i starcy, ujrzawszy mnie, gdy przechodziłem przed jego kancelarią, rzekł:

— Choć, sekretarzu, może byśmy coś zjedli?

Co to znaczy: byśmy zjedli? Z czego właściwie składa się jedzenie? To zawsze stanowi nie byle jaki problem. Ale w tych czasach jedno *okka* przydziałowej mąki większą miało wartość niż pełnoletni chłopak wiejski. W tym stanie rzeczy, co to znaczy „zjeść coś”? Oto chleb upieczony w domu w specjalnym piecu z wyborowej mąki z pszenicy gruboziarnistej, pachnący goździkami, posypany po wierzchu kminkiem. Kromka takiego chleba pachnie mi dotychczas jeszcze mąką, goździkami i dostatkiem. Oto tłuste, zarumienione nerezcki, wobec których zdaje się gasnąć żar w mangale, wzniecony na wysoko kalorycznym węglu. Delikatne jagnięce kotlety, posypane majerankiem, stare, dwudziestopięcioletnie wina, przygotowane przez właściciela winiarni, chrześcijanina, dla swych miłych i drogich klientów, oraz figi z jednej z pobliskich wsi. W ogrodzie, za magazynami, smażą się kotlety. Pływające w oliwie karczochy w menażce, przyrządzone w domu... Bardzo lubiłem, bardzo smakował mi słodki pieróg, który podawano na deser pod koniec uczyty. Kto nie wie, co to jest wojna, może zapytać pierwszego napotkanego człowieka w średnim wieku, dlaczego z takim przejęciem mówię o tej uczcie. Jeszcze w tak niedalekiej przeszłości głodni karmili sytych i sami umierali. Jak wielkim wydarzeniem było spożycie obiadu w kancelarii Eskidzi zatego w czasach, kiedy jedni ginęli za ojczyznę, a inni kładli życie w walce o cukier i mąkę — wiedział także goszczący mnie tego dnia Eskidzi zade. Ja należałem do tych, którzy głodowali i milczeli. Buntu nie odczuwałem. Nie znajdowałem w sobie dość siły, aby przeciw komukolwiek podnieść głos. Jak wszyscy w mieście i ja powtarzałem: „Wojna, takie czasy”. Ale syci najadali się do woli. Powiedziałem sobie, że postępuję rozumnie i jak głupiec usiadłem do stołu.

Eskidzi zade podczas uczty, na którą mnie zaprosił, był zupełnie czym innym zajęty. Zazwyczaj wydawał przyjęcie po to, aby kogoś „położyć” albo też oszukać. Jeśli chodzi o mnie, to przyjmował mnie chcąc pochłubić się swym sprytem w dokonywaniu oszustw. Z uśmiechem przysłuchiwałem się jego słowom.

— Otrzymałem wiadomość, że pszenica zdrożeje. Połączyłem się telefonicznie z agentem Halepli zadego w Stambule. Ten człowiek jest równocześnie moim pośrednikiem. Polecilem mu nadać do mnie telegram tej treści: „Pszenica stanieje, weźcie to pod uwagę przy transakcjach”. Wieczorem, widząc się z Halepli zade, pokazałem mu telegram. Omal nie oszalał. „To niemożliwe, to kłamstwo” — mówił. „Czy ten człowiek jest twoim pośrednikiem?” — spytałem. Zmienił się na twarzy. „Czy to może być, czy to możliwe! — powtarzał — wczoraj rozmawiałem z dostawcami”.

„Chyba wojna się skończy” — rzekłem. „Przecież wszyscy tego pragniemy” — powiedział. „Trzeba duszko, aby rząd udzielił nam pomocy, żeby ochraniał handel, prawda”? „Gdybym to przewidział, w tym roku wcale nie zbierałbym dziesięciny”. „Ejże — rzekłem — nie tak dawno proponowałem ci, abyś mi odstąpił pszenicę po tej cenie. Gdybyś tak zrobił, nie spotkałoby cię to. Ja też chciałem wtedy przetrzymać posiadane towary. Nic nie szkodzi, prawdopodobnie i ty i ja zarobiliśmy coś poza tym”. „Skąd mogłem wiedzieć, bracie” — rzekł i odszedł.

— Tego wieczora wysłałem Alego do Stambułu — ciągnął dalej. Odwiedzał każdego, kto tylko mógł mu się przydać i polecał pisać, że cena pszenicy spada i mówić, że wojna ma się już ku końcowi, że Francuzi poproszą lada moment o pokój. Po trzech czy czterech dniach Halepli zade ukazał się przed moim sklepem, jakby droga jego właśnie tamtędy wiodła.

„Dokąd to Hadzi”? — spytałem. „Idę do Rizy, handlarza słodyczami. Gdy będę wracał, wstąpię” — odrzekł.

— Wiedziałem, że Riza jest tylko pretekstem. „Zamknę sklep, chcę przejść się nad rzekę”. „Niezła myśl, może i ja przyjdę”.

— Gdy odszedł, kazałem przygotować wóz. Krótko mówiąc tego wieczora zakupiliśmy pszenicę od Halepli zade. Nazajutrz, gdy stałem się właścicielem jego majątku, agent przebywający w Stambule nadał do Halepli zade telegram następującej treści: „Nie wypuszczaj z rąk pszenicy. Zdrożała o cztery liry na worku...”.

Jedliśmy kotlety jagnięce i nerki, piliśmy jak wodę wino, dostarczone nam przez sprzedawcę chrześcijanina. Eskidzi zade wybuchnął śmiechem na całe miasteczko drzemiące w gorącu południa. Zawstydzilem się, zadrzałem, przestraszyłem się, że miasteczko usłyszy ten śmiech.

Nie wychodziłem z domu chcąc uniknąć przyjęcia, jakie miało być wydane wieczorem nad rzeką w dniu, kiedy zamierzano ogłosić bankructwo Halepli zade. Był wieczór. Palilem papierosa siedząc na skraju drewnianej ławki, znaj-

dującej się przed domem i milcząc obserwowałem ulicę, milczących ludzi i psy. Od czasu do czasu na dźwięk słów: „cukier, kartki, chleb, front, Czanakkale, Kütelamare”, które pojawiały się na ustach przechodniów, wracałem myślą do rzeczywistości i cierpiałem. Byłem głodny. Chleb kartkowy wywoływał ból. Miałem zepsuty żołądek. W takim stanie rzeczy usiłowałem zapomnieć o wszystkim paląc papierosy. Czego chcieli ode mnie ci ludzie, mówiący bez przerwy



o Kütelamare i Enver paszy. Jak mogli oni, nie mając w swych żołądkach nic prócz chleba kartkowego myśleć o tym, co się dzieje na świecie? Mówili: „pokój, wojna”. Dlaczego nie rozmawiali o swych dzieciach i polach?

Nagle na rogu ulicy ukazał się faeton, zaprzężony w dwa kare konie. Jak to się stało, że woźnica, który nie był ani kulawy, ani bezręki, ani ślepy, uchronił się od wojska. Co mogło dolegać temu zdrowemu człowiekowi, równie ciemnemu jak jego konie?

— Oj sekretarzu, przecież on udaje chorego... lenistwo... ejże, czyżbyś i raki nie wypił? No, ruszajże!

— Daruj mi dzisiejszy wieczór, ago. Nie mogę pić raki. Znowu chwyciła mnie febra.

— Raki wspaniale robi na febrę. Chodź, dam ci kieliszek koniaku z chininą. Nie wypuszczę cię dziś.

— Nie pójdę, ago.

— Sekretarzu, bez ciebie się nie ruszę. Koniecznie musisz przyjść dziś wieczorem. Nie wiesz, co ze mnie za człowiek. Kazałem zmłócić dla ciebie

cztery worki mąki i odstawiłem głowę cukru, ważącą 4 *okka*. Dość już tych głupstw.

„Cztery worki mąki, głowa cukru ważąca 4 *okka*” — myślałem.

Nad rzeką zapadł ciepły zmierzch, ze szczytów topoli dolatywały głosy ptaków. Znajdowaliśmy się na jednej z wysepek. Jezioro w trzcinach małej rzeczki biorącej z niego swój początek, drzemie rozżalone, że rzeczka ta porywa i wyswobadza stojące wody. A ona znowu staje się jeziorem.

— Człowiek — odezwał się Eskidzi zade — nie może zapomnieć o swym pochodzeniu. Patrzcie, nawet ta rzeczulka nie zapomina, że początek swój bierze w jeziorze. Jej woda jest ciepła i nieruchoma jak woda jeziora. Jak jezioro spokojna, jak jezioro — nie płynie. Nawet przyroda nie zapomina o swym pochodzeniu, kryje w sobie coś z niego. Jeśli chodzi o mnie, to zacząłem, jak to widać z mego nazwiska, od handlu starzyzną. Kiedy byłem jeszcze małym smykiem, kupowałem od wieśniaków na bazarze, gdzie handlują cebulą, jajka i sprzedawałem je. Tak jak i dzieci żydowskie, zbierałem starzyznę. Trwało to aż do małżeństwa. Kapitału nie miałem, nie należałem do bogatych. Nabrałem takiego doświadczenia w handlu, że czułem się zdolny nawet z małym kapitałem podbić świat. Ożeniłem się, żona moja miała trochę pieniędzy, a i czasy były odpowiednie. Lecz w handlu należy zdobywać doświadczenie od dziecka. Pamiętaj, sekretarzu, nie посыłaj swego syna do szkoły do Stambułu, przyzwyczajaj go do handlu. Niech sprzedaje zapałki, bibułkę do papierosów, niech się przyzwyczaja do handlu, warto. Handel daje korzyści. Kupiec nie jest niczym niewolnikiem.

Słuchaliśmy go i przyznawaliśmy mu rację. Chyba najwyższy urzędnik nie pił raki, nie jadł tych kotletów, bakłażanów smażonych, nadziewanych, kawiorów. Nawet geniusze śpiewający pieśni ku chwale ojczyzny też tego nie jedli. Niech żyje handel! Powtarzaliśmy „niech żyje handel” i piliśmy.

W ciągu 15 dni malaria uczyniła mnie podobnym do dziecka. Moje myśli, moje ciało — wszystko stało się jakby dziecinne.

— Ach, sekretarzu, co się z tobą stało!

— To przez malarię, ago.

— Allah, Allah! Co się dzieje! Co za przekłeta choroba! Wybacz, że nie interesowałem się twoim zdrowiem, ale wiele miałem kłopotów, jestem bardzo wyczerpany. Zamiast 4 przysłę ci dziś 5 worków mąki. Cukru — 15 *okka*. Starczy ci na rok. Przysłę też trochę kawy. Przemieszaj ją z grochem i używaj oszczędnie. Za kilka miesięcy tego towaru już nie dostaniemy.

— Daj ci Boże zdrowie, ago.

— Usiądź tu. Weź pióro do ręki i szybko przedstaw mi moje rachunki. Napisz też ten list i nie zapomnij o kopii. Potem zabierzemy się do jedzenia.

*

— Jedz chałwę, sekretarzu. Nie bój się, nie zaszkodzi. Zrobiona jest na czystej oliwie z Aleppo. Weź też trochę muszkatu. Przecież winogrona nigdy nie szkodzą!

— Dobrze, ago. Ale powiedz mi teraz, dlaczego trzymasz tego Rahmi Beja. Mówią, że on zrobił wielkie pieniądze. W miasteczku jego imię ustępuje tylko twemu w rozgłosie.

— Nie niepokój się, sekretarzu. Nie potrwa to długo. Zgnębię go. Będzie nędzarzem. Gdy nie będzie mógł zdobyć pieniędzy na chleb, znowu przyjdzie do mnie. Zobaczysz.

— Dobrze, ago, ale dlaczego tak robisz?

Nie odpowiedział. Śmiał się. To dawało mu maksimum zadowolenia. Namiętności, w miasteczku bez kina, teatru, kobiet i hazardu, były w ten sposób doskonale zaspakajane. Aby kogoś zgnębić, należy go najpierw wysunąć na taką pozycję, aby móc się z nim zmierzyć, potem pokonać i pożegnawszy go wybuchem śmiechu, zorganizować zabawę nad brzegiem rzeki.

Skromni mieszkańcy miasteczka lubili Eskidzi zatego. Każdemu zrobił coś dobrego, każdemu posłał mąki, cukru. Tymczasem wojna światowa miała się ku końcowi. Eskidzi zade, który już doprowadził do ruiny Rahmi Beja, zdawał się trochę dręczyć z tego powodu. Rahmi Bej wykazał więcej siły, niż on przypuszczał i starał się nie ulec w walce. Przysporzyło to Eskidzi zadem mniej więcej sto tysięcy lir dochodu.

Ale dziś, kiedy Rahmi Bej, Eskidzi zade i ja spożywalimy wytworny posiłek, Rahmi Bej był już wykończony i najciekawsze było to, że biedaczek nie zdawał sobie sprawy z wyrządzonej mu krzywdy. Siedział i jadł razem ze swoim katem. Tego wieczora towarzyszyliśmy mu aż do pociągu do Stambułu. Pieniądze na bilet dał mu Eskidzi zade, nie zapomniał również wręczyć mu książeczki czekowej na drobne wydatki.

Wróciliśmy do domu końmi, klnąc denerwujące nas drzewa, psy i piasek pod kołami wozu. Eskidzi zade wydawał się zamyślony i zrozpaczony.

— Sekretarzu — rzekł. — Źle jest z mymi zębami, bolą. Pojedziemy z tobą do Stambułu i zrobimy z nimi porządek.

— Dobrze, ago.

Następnego dnia zsypywalimy sprzedaną pszenicę do worków. Rachunki wykazały ogółem 80 tys. *okka*. pszenicy w magazynie, tymczasem, pomimo iż przy załadunku uzyskaliśmy już tę cyfrę, jeden z magazynów był jeszcze pełniuteńki. Pognałem do Eskidzi zatego.

— 80 tys. *okka* zsypałem — rzekłem. — Jeden magazyn jest jeszcze pełen po szczyty. Jak to się stało?

— Ach, sekretarzu — rzekł. — Nazywa się to produkcją magazynu. Zsyp i to do worków.

Wiedziałem, że pszenica daje ubytek. To znaczy pojmowałem swym rozumem, że zamiast 80 tys. możemy otrzymać tylko 78.868 *okka*. Biorąc więc towar z magazynu uwzględniano to prawo. Nie przypuszczałem jednak, aby dajmy na to 80 tys. *okka* dało zwyżkę 90 tys.

Znowu były nerki, karczochy, znowu kompot z pigwy, muszkat, figi z żółtych wzgórz. I znowu Eskidzi zade śmiał się:

— Sekretarzu — mówił. — Rozum twój nie może tego pojąć. Hej, Ali Atleto, chodź no tu, wyjaśnij sprawę przyrostu w magazynie.

Atleta Ali był wagowym, który ważył towar brany od wieśniaków. W zasadzie był on pracownikiem miejskim, ponieważ jednak zarząd miejski należał do Eskidzi zadego, w rzeczywistości był on jego wagowym.

Sprawa się wyjaśniła. Nie zwróciłem jedzenia, które zdążyłem połknąć, ale tego samego wieczora pojechałem do Stambułu postanawiając nie wracać już do miasteczka.

Stambuł był światem. Tutaj głodne psy podobne były do ludzi. Obok tysięcy Eskidzich żyło tysiące współuczestników przestępstw. Przed piekarniami tłumy. Na sytych, jadących w samochodach patrzono tak, jak my w miasteczku patrzyliśmy na Eskidzi zadego. Mówiono: „takie czasy”, mówiono: „wojna”. Ludzie milczeli, a z oddali dawał się słyszeć huk armat. Na rynkach śpiewano pieśni patriotyczne, młodzi poeci idący na tyły frontu i młodzi literaci wykrzykiwali: „niech żyje wojna, niech żyje wojna, wojna, wojna”! Umierającym śpiewano elegie, a specjalne pieśni tym, co jedli chleb kartkowy. Okrzyki: „niech żyją” wzmagały się. „Przyszłość do nas należy” krzyczano. Po ulicach przechadzali się jak bohaterowie rudzi Niemcy o czerwonych twarzach. Co to za piękni ludzie, ci Niemcy!

Jednym słowem Stambuł był światem, pełnym ludzi jedzących, pijących i śmiejących się. Ci co nie jedli, nie pili i nie śmieli się, usunęli się w kąty i nie jedli, nie pili, nie uśmiechali się.

Eskidzi zadego spotkałem w hallu hotelu.

— Źle, sekretarzu. Mieliśmy przecież przyjechać razem.

— Tak się stało, ago — odpowiedziałem chłodno.

Zmiękł. Nieco później ja zmiękłem jeszcze bardziej od niego.

Wieczór ten spędziliśmy w luksusowym apartamencie w towarzystwie trzech młodych dziewcząt. Na stole był kawior oraz pokrajane na cienkie plasterki bielutkie bułki francuskie, które krępował się sprowadzać ze Stambułu nawet sam Eskidzi zade. Spojrzenie dziewcząt utkwione było właśnie w te bułki, które stanowiły dla nich coś bardziej wymyślnego, niż kawior i koniak...

Jedliśmy, piliśmy...

Dentysta, do którego poszliśmy następnego dnia, powiedział:

— Zróbmy z platyny, paszo. Złote ma każdy. I to złote... dobrze nie trzyma. Zrobimy z platyny.

— Możemy zrobić z platyny — rzekł Eskidzi zade. Zaśmiał się, gdy dentysta zażądał wysokiej sumy i zwracając się do mnie spytał:

— Czy w tym roku magazyn dał 10 tys. *okka*?

Kazaliśmy zrobić Eskidzi zademu platynowe zęby. Znalazł dla mnie pracę w Stambule. Tymczasem ogłoszono zawieszenie broni. Eskidzi zade wrócił do swego miasteczka. Od czasu do czasu dochodziły o nim słuchy, mówiono o jego oszustwach, on zaś chwalił się swym bogactwem. Widywałem się z nim rzadko. Kiedy przed pięciu laty zawędrowałem do miasteczka, spotkawszy mnie zawołał:

— Sekretarzu!

Ale głos jego nie dźwięczał już tak jak dawniej.

— Tutaj — mówił — tutaj coś jest, co mnie gnębi. Nie mogę tego zrozumieć. Pieczywo jest mi zabronione, męczyć się nie wolno, wzruszać się nie wolno, raki zakazane. Czyż można tak żyć? Hej, minione lata!...

Wielu było takich, co się cieszyło, kiedy Eskidzi zade umarł na udar serca. Ja nie cieszyłem się. Było mi nawet smutno, ponieważ jadłem jego chleb.

Pochowano go na „krwawym cmentarzu” naprzeciw jego magazynów. Wtedy był tam cmentarz, nie było jeszcze kina i budynku partii.

Pewnego dnia rada zarządu miejskiego postanowiła usunąć cmentarz z centrum miasta. Wycięto cyprysy. Zapach ich czuło się z daleka, a rozchodził się on tak po całym miasteczku, że zaczęły krążyć słuchy, jakoby zmarli powstałi z grobów. Trzeba było przenieść prochy Eskidzi zadego w inne miejsce. Wyniesiono więc poza miasto i tam pochowano. Ale po tym pogrzebie rozeszła się po mieście wieść, że „nic nie znaleziono w mogile Eskidzi zadego...”. To wzbudziło u wszystkich wielkie zainteresowanie. „Ciekawe — pytano się — co się stało z kośćmi tego człowieka”? Nawet najdrobniejszy rzemieślnik interesował się zwłokami wielkiego kupca i zaciekawiało go, co mogło się stać z jego kośćmi. W końcu zaczęto badać sprawę. Jeden z tych, którzy dokonywali ekshumacji zwłok, został zatrzymany. Był to młody wieśniak. Zaprzeczał wszystkiemu. Ponieważ nie było żadnych dowodów jego winy został zwolniony. Ale gdy uniewinniono go, nie uznał za niewłaściwe rozpowiadać na wszystkie strony:

— Cóż miałem robić — mówił. — Ojciec mój powiedział, że zęby jego były z białego złota. Za każdym razem, gdy przywożono pszenicę, uśmiechał się zjadliwie i pokazywał zęby. Błyszczały. Białe złoto jest bardzo cenne. Cóż robić!

— Dobrze, a co zrobiliście z trupem?

— Cóż mieliśmy robić. Zaciągnęliśmy go do wody, uwiązaliśmy kamień do szyi i chlup!

Zdawało mi się, że o tym iż nadwyżka w magazynie wyniosła 10 tys. *okka*, wiedział prócz mnie tylko Ali Atleta. Prawdopodobnie wszystkie okoliczne wsie domyślały się tylko, ale nie miały na to dowodów.

Ci, którzy wyrwali z ust nieboszczyka platynę, stanowiącą równowartość nadwyżki w magazynie, pognali do Stambułu i uzyskane pieniądze przepuścili u winiarzy i zwiędłych prostytutek.

Z tureckiego przełożyła
Stanisława Rymkiewicz



ABD AR-RAḤMĀN ASZ-SZARĶĀWĪ

MAŁE MARZENIA

Abd ar-Raḥmān asz-Szarḳāwī urodził się w 1920 r. w wiosce Dalātūn, leżącej w okręgu al-Manūfijja. Ukończył studia prawnicze na Wydziale Prawa Uniwersytetu w Kairze w 1943 r., poświęcił się jednak głównie publicystyce i literaturze. W r. 1945 został naczelnym redaktorem miesięcznika literackiego „Aṭ-Ṭalī'a” („Awangarda”), wydawanego przez byłych studentów uniwersytetu; jednak w rok później czasopismo zostało zamknięte. Mając lat 18 próbował swoich sił w poezji i opublikował kilka utworów. Pierwsze jego opowiadanie ukazało się drukiem w r. 1943. Od tej daty spotyka się często opowiadania i wiersze Szarḳāwiego w różnych dziennikach i periodykach egipskich oraz czasopismach innych krajów arabskich.

Jako publicysta i krytyk literacki asz-Szarḳāwī zabiera głos w ważnych i aktualnych zagadnieniach tak literackich jak i społecznych. Wysunął się na czoło pisarzy młodego pokolenia w Egipcie i w całej literaturze arabskiej zajął jedno z najwybitniejszych miejsc. W latach 1946—52 jego poezje i utwory pisane prozą, w których krytykował reżim Faruka, niejednokrotnie ulegały konfiskacie.

Asz-Szarḳāwī przebywał pewien czas w Paryżu, zwiedził również inne stolicy Europy; uczestniczył w licznych konferencjach międzynarodowych, brał również udział w festiwalu młodzieży w Warszawie w r. 1955. Jest członkiem założonego niedawno Stowarzyszenia Pisarzy Egipskich oraz Światowej Rady Pokoju. Jego utwory poetyckie, nowele i powieści tłumaczone są na języki obce. Najbardziej znana jest jego powieść *al-Ard* (*Ziemia*), której wątek jest zbudowany na konflikcie między bogatym obszarnikiem i małorolnymi fellahami. Powieść ta, poza interesującą treścią, posiada jeszcze dużą wartość artystyczną, przepojona jest patriotyzmem i troską o dobro ojczyzny. Dobrze poprowadzony żywy dialog, napisany w dialekcie egipskim, bardzo ożywia akcję powieści. Asz-Szarḳāwī przygotowuje nową obszerną powieść. W r. 1956 ukazał się cenny tomik jego nowel pod tytułem *Aḥlām saḡira* (*Małe sny*), z którego pochodzi poniższa nowelka.

J. B.

„Otworzył oczy i zaczął szukać swojego mundurka... mundurka, który miał zmienić jego życie... uwolnić go od wszelkich trosk”.

W jego małym światku wszystko spało: ojciec i matka, koza i kury; tylko on sam nie mógł zasnąć.

Spoglądał na gasnący, żółty blask, który wysyłała w zakątki ciemnego pokoju nędzna, wiejska lampka; dawała ona więcej dymu niż blasku... patrzył na jej światło i oczekiwał przebudzenia się matki i dnia...

Jutro po raz pierwszy w życiu ma ubrać się w mundurek i buciki. Przywdzieje rzeczy nowe, a strzepy swojego tarbuszu odda wiatrom do zabawy... i uda się

do miasta, którego nigdy przedtem nie widział, aby złożyć tam egzamin wstępny do szkoły podstawowej.

W czasie podróży wsiądzie na osła... nareszcie wsiądzie na grzbiet tego osła, za którym tak często, z domu na pole, chodził na piechotę... marzył, że pojedzie na nim... Co prawda już raz jechał na nim... I chyba o wszystkich wydarzeniach wiejskich, które go tak interesowały, Mustafa kiedyś zapomni, ale nie zapomni nigdy tego, co mu się wówczas przydarzyło. Siedział na grzbiecie osła, gdy nagle stryj mocnym uderzeniem zrzucił go na ziemię... Stryj miał litość nad osłem, gdyż uważał, że osioł jest pożyteczniejszy dla rodziny od dwadzieściorga dzieci, bezużytecznych — jak Mustafa. Stryj uważał, że ziemia, którą dźwigał stary osioł, jest już dla niego dostatecznym ciężarem.

Mustafa nie mógł zrozumieć, dlaczego stryj godził się, aby osioł nosił glinę, a nie zezwalał, aby ponosił jego... A przecież Mustafa jest jedynym dzieckiem w rodzinie!

Rodzina jest mała: składa się z Mustafy, matki, ojca i stryja... I posiada na własność starego osła, kozę i kury.

Ojciec jego uczył kiedyś w al-Azharze i pragnął uzyskać turban i siadywał pod jedną z kolumn Uniwersytetu¹.

Pewnego wieczoru ojciec powrócił do wioski, włożył swój turban i zsunąwszy go na czoło kroczył dumnie... Pierwszym, którego spotkał, był jego brat. Uśmiechając się rzekł:

— Cóż tak pokazujesz swój turban? Czy to znaczy, że cel osiągnięty? Dobrze idź, zobaczymy co zdobędziesz!

Śmiała się cała wioska z tych słów i nie przestała się śmiać aż do dnia dzisiejszego, włączając je do zbioru przysłów i dowcipów... Słowa te okazały się prawdziwe, bo młody „Azharjczyk” nie powrócił już do Kairu, lecz ożenił się i osiadł w wiosce; swój turban nosił zawsze nieco zsunięty na czoło... Nie miał wprawdzie swej kolumny w al-Azharze, zyskał jednakże pewien wpływ wśród fellahów. Pouczał ich o raju i o piekle, małżeństwie i rozwodzie, pisał dla nich bezinteresownie zażalenia, kiedy działa im się krzywda ze strony naczelnika gminy... A gdy dorósł jego syn Mustafa, posłał go do wiejskiej szkoły elementarnej, a następnie myślał o tym, aby go oddać do szkoły miejskiej, pragnąc by syn dokonał tego, czego on sam nie zdołał osiągnąć.

Ojciec nie myślał tak jak stryj, który chciał, żeby Mustafa pozostał na wsi i pomagał mu przy pracy na roli; a gdy Mustafa dorośnie, weźmie do ręki kij, stanie u boku stryja i będzie bronił rodziny przed wrogami, którzy odnosili się do niej bez należytego szacunku..., którzy kradli przypadający na nią przydział wody do nawadniania pól, albo wypędzali swoje trzody na ich biedne pola.

¹ Al-Azhar, znany dawniej i obecnie nadal istniejący uniwersytet w Kairze, założony w X w. W jego wnętrzu, pod kolumnami, zasiadali uczeni muzułmańscy (szejchowie) zbierając wokół siebie uczniów.

Stryj był szczupły i wątego ciała. Jego ciemna twarz wyrażała surowość i gorycz. Niekiedy powiedział coś takiego, co pobudzało fellahów do śmiechu; ale mieszkańcy wioski pamiętali lata, kiedy nie był on nastrojony do żartów... I wówczas, kiedy szef posterunku napadł na kogoś, naczelnik gminy zajął kury wieśniaczkom lub zabrał fellahom mienie, od stryja oczekiwano rady, stryj wyjaśniał, dlaczego tak się dzieje... I wówczas w śmiechu, który wywoływały jego drwiące uwagi, fellahowie znajdowali ulgę w drczących ich cierpieniach.

Ten człowiek o wątłym ciele sprzeczał się ustawicznie ze swoim bratem, odkąd zrodziła się myśl wysłania Mustafy do miasta na naukę... I tego wieczora, kiedy rodzina usiadła do kolacji, stryj nadgryzł duży kawał cebuli i przeżuwając go wraz z chlebem i starym czerwonym serem, mówił:

— Daj spokój, zostaw go tutaj, mówię ci... tu jego miejsce... Któż będzie się użerał z opryszkami... Więc to on ma przynieść wolność tej ziemi? Na Allaha, czy on ma przynieść swobodę? Jakże to?

Mustafa słuchał, a nie rozumiejąc słów „wolność”, „ziemia”, wybuchnął gniewnie:

— A właśnie... a właśnie, przyniosę ziemi wolność...

Stryj zanosił się od śmiechu, jak nigdy przedtem; śmiał się i ojciec, mówiąc przy tym: „Jak Bóg da”.

*

Teraz stryj śpi na ławie, stojącej przed wejściem do sąsiedniej izby, i zbudzi się wraz ze świtem...

Lecz dzień, w którego promieniach ma powędrować do miasta karawana, a z nią i chłopak, nie nadchodzi... Izba, w której bije serce Mustafy, jest szczelnie pozamykana, nie ma najmniejszej szczeliny, przez którą przedostałby się promyk ciepła słonecznego lub poświaty księżycowej...

Izbę wypełniało sapanie i postękiwanie wypoczywającej kozy, odgłosy nocy oraz drżące światło nędznej lampki, zamierające jak nadzieja w wielu duszach. Lampka ani nie oświetlała przedmiotów jakimś jaśniejszym blaskiem, ani nie gaśla zupełnie.

Czas mijał bardzo powoli. Mustafa tak pragnął ujrzeć siebie już teraz w nowym mundurku... tak jak syn komendanta posterunku, który przechadza się po wiosce, chroniony władzą swojego ojca i postrachem, jaki szerzy szef stróżów nocnych.

Chociaż syn komendanta jest zupełnie podobny do innych chłopców, ma jednak uczesane włosy, rumieńce na twarzy, jest pełen życia, ma czyste kolana. Przechadza się po wiosce, z dumą spogląda na dzieci, które przyglądają mu się ze zdziwieniem... Biega, śmieje się, zaczepia i kopie ludzi i bydło..., a za nim szef stróżów nocnych z uśmiechem wskazuje na dzieci...

Mustafa pamięta, jak pewnego razu omal nie poturbował tego chłopaka szef stróżów nocnych pochwyił go mocno w swe ręce i pozwolił synowi komendanta aby go dobrze sprął. Potem pchnął go mocno i przeklinał jego ojca i jego potomstwo... i mieszkańców całej wioski.

Gdy Mustafa opowiedział tę historię w domu, zbesztala go matka, przetrzepała po plecach ojciec i stryj dał szturchańca, krzyząc:

— Ty smarkaczu, czy to my jesteśmy tutaj panami? Jesteś takim samym panem, któremu się tak szczęści, jak twemu ojcu... Twój ojciec... jego kariera zaczęła się tak samo szczęśliwie w Kairze, jak i twoja!

Mustafa przypomina sobie to zdarzenie i pragnie przyspieszyć przebudzenie matki i dnia, aby móc wyruszyć już do miasta.

Pójdzie do szkoły, tak jak syn komendanta posterunku... jak syn urzędnika... Ubierze się w mundurek, będzie rozmawiał i ludzie będą przysłuchiwali się jego słowom; stanie się człowiekiem, który pozna tajemnice życia... pozna to, czego nie znają inni; tak jak gruby, ociężały, dostojny inspektor, który wizytował ich szkołę na początku ubiegłej jesieni. Jechał na wozie wyboistą drogą, stare kobiety stojące w drzwiach domów rozmawiały o dawnych czasach, o świętych Allaha i o tym, czego dokonali.

Dorośle dziewczęta, spragnione usłyszeć choć kilka słów od człowieka „ze świata leżącego za polami”, zasłaniały sobie usta i podbródki czarnymi chustami, a spojrzenia ich mierzyły „efendiego” na całą wysokość i szerokość. Inspektor pojechał do szkoły. Sporo dzieci skupiło się za wozem. Potem wyszła grupka dzieci, wśród której znajdował się i Mustafa, a nauczyciel wybiegł na spotkanie.

Malcy spostrzegli, że nauczyciel, który często poszturchiwał ich swym kijem, przycichł, nie wymyślał; starał się ukryć swój kij... Dlatego dzieci były przepelnione uczuciem miłości dla tego niezwykłego gościa.

W klasie zapanowało nabrzmiałe obawą milczenie. I naraz ręce dzieci wysunęły się spod ławek. A kiedy inspektor przemówił, spotkały się ich ręce i zbiegły spojrzenia na postaci tego człowieka i na jego ustach... Mówił pięknie, opowiadał tak, że czegoś podobnego nigdy przedtem nie słyszały... Jak gdyby został zesłany z niebios.

Inspektor zwrócił się do malców z zapytaniem jak wygląda... jabłko.

Mustafa nigdy nie zapomni tego słowa. Cała wioska do dziś jeszcze wspomina tę historię z inspektorem i z jabłkiem. Śmieją się przytym wszyscy; weszła ona również do repertuaru wesołych opowieści.

Malcy nie zrozumieli, czego inspektor chce od nich... Zwrócił się więc do nauczyciela i poprosił z całą prostotą, by mu narysował jabłko na tablicy. Nauczyciel zawstydzil się mocno. Przez chwilę stał stropiony, jak gdyby usiłował przypomnieć sobie, co to jest. I wtedy, jak szczebiot wróbli rozległ się śmiech malców.

Gdy Mustafa pojedzie do miasta, pozna, co to jest jabłko, i wiele innych tajemnic, które w życiu miejskim są czymś zupełnie zwyczajnym.

*

Dlaczego ojciec się nie zbudzi i dlaczego nie zabiera się do przygotowania rzeczy do podróży?... Jego ciężkie chrapanie miesza się z oddechem kozy.

Mustafa rzucił na kozę złe i pogardliwe spojrzenie... Co dzień doprowadzała go do płaczu, kiedy ją prowadził, rano czy wieczorem. Zawsze skakała po obu stronach drogi, potem uciekała i zostawiała go na łasce stryja, od którego otrzymywał odpowiednią porcję łajania i szturchańców... Wreszcie odpocznie od jej nieznośnego towarzystwa.

Koza obdarzyła go zimnym spojrzeniem swoich wielkich oczu...

Tak, kiedy nadejdzie dzień, ubierze się w mundurek, buciki i fez.

Wstał ostrożnie, spojrzał ukradkiem na ojca i matkę, śpiących obok na legowisku, rozesłanym na ziemi. Lampa przygasiała z wolna. Z sercem bijącym radością wysunął się ze swego posłania i otworzył skrzynię, gdzie jego matka przechowywała ciastka i ubrania świąteczne... oraz wszystkie cenne przedmioty.

Koza poruszyła się i jakby zakaszła. Wydawało mu się, że patrzy na niego ze smutkiem... stwierdził, że przywiązana była do wieka skrzyni... Spiesznie odwiązał ją i otworzył skrzynię. Z radością spojrzał na swój nowy mundur... Z nadmiaru szczęścia nie mógł złapać tehu.

Zabrał mundur na swoje posłanie, rozłożył go, gładził i tulił w ramionach. Specyficzny zapach nowego ubrania drażnił nozdrza i całe ciało przenikał do szpiku kości. Czuł, że go odurza, jak jakieś niezwykle bardzo silne perfumy.

Ręka Mustafy przesuwiała się tam i z powrotem po szorstkiej tkaninie mundurka, a myśli błądziły po mieście i wśród jego mieszkańców, którzy jadaliby jabłko, pszenne placki, mięso i ryż...

*

Nie mógł już opanować swojego szczęścia. Z rozkoszy zamknął oczy.

Poczuł jak powoli, cał za całem rozkosz ta rozplywa się po jego członkach... On sam zaczyna staczać się po spadzistej, pięknej drodze, otoczonej barwnymi, przepięknymi kwiatami. Głosy oddalały się i ucichły... coraz bardziej, bardziej... aż ogarnął go sen.

*

Nagle Mustafa poczuł ból przeszywający całe jego ciało.

Do jego uszu doszły wzburzone krzyki matki, stryja i ojca.

Wracał do świadomości, przecierał oczy... Nie mógł otrząsnąć się ze snu.

Ktoś uderzył go w twarz. Chłopiec zatoczył się z bólu i strachu... krzyknął i zaczął błagać matkę o pomoc. Matka trzymała ojca i stryja, czego przedtem nie dostrzegł, i krzyczała, że za kawałek materiału zabiją jej jedyne syna.

Płacząc mówiła o *ifritach*², które mogą go opanować, ponieważ bili go, gdy jeszcze spał. Otworzył oczy i zaczął szukać mundurka... mundurka, który miał go zaprowadzić do miasta i wyratować z wszystkiego, co go tu otaczało.

Znalazł tylko kawałek obgryzionego materiału.

Nie wiedział, co począć...

Zaczął oglądać się wokoło, szlochając, rozpaczliwie. Za stryjem stała koza i przeżuwała resztki mundurka...

Chciał, tak jak i matka, rzucić się na kozę, lecz ojciec odepchnął ich oboje. Bo cóż by to była za strata, gdyby stracili kozę...

Wtedy Mustafa stwierdził, że ojciec i stryj tak chronili kozę, jak komendant posterunku swego syna.

*

Jeszcze nie przestał szlochać, a już matka pociągnęła go za rękę i kazała wyprowadzić kozę i osła, i popędzić w pole. Nie nadawał się do czego innego... zawiódł się w swoich nadziejach.

I nigdy przedtem koza nie skakała tak przez całą drogę, jak właśnie w tym dniu...

Mustafa, z twarzą wykrzywioną bólem rzucił w nią może ze sto kamieni lecz ani razu nie trafił...

W tym roku ojciec nie mógł sprawić mu drugiego mundurka.

Na polu Mustafa przestał płakać... Zaczął znów marzyć, że za rok pójdzie do szkoły, do miasta. Poprzysiął sobie, że skrzynię z ubraniami zamknie na klucz i całą noc będzie jej pilnował..., albo będzie spał na skrzyni, aż koza wyjdzie sobie z izby.

Rok 1943

Z arabskiego przełożył
Józef Bielawski

² Ifrity — złe duchy.



BAJKI O ZWIERZĘTACH*

MALAM I HIENA

Pewien *malam*¹ chciał udać się w pielgrzymkę do Mekki. Mimo, że koń jego był już zupełnie znużony, malam dosiadł go i pojechał. Jadąc przez gęsty las, zobaczył hienę. Hiena zapytała: „Malamie, dokąd jedziesz? Co ci się przydarzyło”? Malam odrzekł: „Jadę do Mekki oddać pokłony, lecz koń mój nie jest w stanie iść dalej”. Wtedy hiena powiedziała: „Daj mnie konia, zabiję go i zjem, a ty siądziesz na mnie i ja cię zawiozę”.

Malam zgodził się, mówiąc hienie: „Tylko nie oszukaj mnie!” Na to hiena: „Cóż ty, malamie! Widzę, że nie możesz jechać dalej i tylko dlatego to robię. Siądziesz na mnie i ja natychmiast dowiozę cię do Mekki”. Malam zgodził się i powiedział: „Dobrze, weź go więc i zjedz”.

Hiena schwyciła konia, zabiła go, następnie wzięła mięso i zaniosiła do domu, gdzie zjadła je wraz ze swoimi dziećmi.

Malam długo siedział i czekał, jednakże hiena nie wracała.

W tym czasie drogą przechodził szakal. Gdy zobaczył siedzącego malama, zapytał: „Co ci się zdarzyło, malamie”? Ten rzekł: „Jechałem z domu do Mekki, ale koń mój zmęczył się, więc zatrzymałem się tutaj. Spotkała mnie hiena i spytała, co mi się zdarzyło. Odpowiedziałem jej, że jadę do Mekki, ale koń jest znużony i dlatego tutaj siedzę. Hiena na to rzekła: «O! Ten koń nie dowiezie

* Bajki te stanowią dalszy ciąg wyboru bajek ludu Hausa, drukowanych w „Przeglądzie Orientalistycznym” nr 3(19), 1956, s. 365.

¹ M a l a m — uczony muzułmański.

cię do Mekki, lepiej daj go mnie, zrobisz mi przyjemność. Gdy go zjem, nabiorę sił i dostawię cię do Mekki». Odpowiedziałem: «Hieno tylko mnie nie oszukaj! Zjesz konia, a potem uciekniesz i więcej cię nie zobaczę». Ona jednak zapewniała: «Będzie zrobione tak, jak powiedziałam, bez żadnego oszustwa». Zgodziłem się i pozwoliłem jej zabrać konia. Hiena odeszła i do tej pory jej nie widzę». Na to szakal rzekł: „Dobrze malamie, już ja ją sprowadzę do ciebie”.

Szakal wziął siodło, popręg, uzdę, ostrogi, miecz i poszedł. Wyszukał także kawałek mięsa i zabrał go ze sobą. Szedł, szedł, rzucając po drodze sztuka po sztuce części końskiej uprzęży, aż wreszcie zbliżył się do nory hieny. Przed wejściem położył popręg, pokręcił się koło nory, podszedł do otworu i zastukał. Nikt nie odpowiedział, gdyż jeszcze rano hiena rozkazała dzieciom: „Gdyby ktoś mnie szukał, to mówcie, że mnie nie ma”. Gdy szakal zastukał po raz wtóry, dzieci powiedziały, że hieny nie ma. „O, przekleństwo! — rzekł szakal. Niespodziewanie zdechła krowa. Przyszedłem zawołać hienę, a wy mówicie, że jej nie ma w domu. Wypada mi zawrócić”. Na to hiena się odezwała: „Kto mnie szuka”? Szakal rzekł: „To ja, szakal. Niespodziewanie zdechła krowa, dorznąłem ją i przyniosłem duży kawał mięsa, aby ci pokazać, lecz dzieci twoje mówiły, że nie ma ciebie w domu”. Wtedy hiena zawołała: „O, Allahu! Widzisz, jakie mam niegrzeczne dzieci! Ja śpię, mnie szukają, a wy mówicie, że mnie nie ma w domu”?

Następnie wyszła i powiedziała: „Oto jestem”. Szakal rzekł do niej: „Masz, spróbuj”! Hiena chwyciła mięso, połknęła i nawet kęska nie dała dzieciom. Potem rzekła: „Chodźmy”!

Wyszli na drogę i poszli, hiena przodem, a szakal z tyłu. Po pewnym czasie hiena powiedziała do szakala: „Ty nie możesz iść, siadaj na mnie, w ten sposób będziemy szybciej”.

Szakal siadł na hienę i ruszyli dalej. W drodze znaleźli czaprak. Szakal zawołał: „Pozwól, że nakryję twój grzbiet czaprakiem, gdyż kluje mnie sierść”. Hiena odpowiedziała: „Dobrze, tylko prędko”. Szakal wziął czaprak, nakrył jej grzbiet, po czym usiadł i udali się dalej.

Następnie znaleźli uzdę. Szakal rzekł: „Pozwól, że wezmę to i założę na twoje usta, wtedy będę mocniej siedzieć”. Hiena odpowiedziała: „Założ, tylko prędko i idziemy”. Szakal założył uzdę i siadł na hienę. Ruszyli dalej i znaleźli ostrogi. Szakal zsiadł, wziął ostrogi, przypiął je do nóg i znów dosiadł hieny.

W ten sposób jechali dalej, a gdy zbliżyli się do miejsca, gdzie czekał malam, hiena poprosiła, aby zmienili kierunek. Lecz szakal powiedział, że w tym właśnie miejscu znajduje się mięso. Wtedy hiena rzekła: „Więc chodźmy tam”. Gdy skierowali się do miejsca, które wskazał szakal, weszli prosto na malama.

Szakal skierował się w jego stronę, spiął ostrogami hienę, która chciała się wycofać, wyjąc: „U-u-u-u”!

Gdy zatrzymali się przed malamem, szakal zszedł na ziemię i rzekł: „Malamie, oto twój oszust, wstawaj, siadaj na niego i nie schodź, póki nie przy-

będziesz na miejsce, do którego podążałeś. Jeżeli nawet zejdiesz w jakiejś sprawie, to nie pozwól jej wejść do rzeki”. Małam odpowiedział: „Rozumiem”. Dosiadł hieny i nie zsiadł z niej, dopóki nie przybył do Mekki. W mieście zszedł z hieny, dał chłopcom wodze i rzekł: „Nie siadajcie na nią i nie prowadźcie jej do rzeki”.

Gdy małam wszedł do meczetu i zaczął się modlić razem ze wszystkimi, chłopcy siedli na hienę i pojechali nad rzekę. Gdy wyjechali z miasta, hiena zaczęła galopować i z chłopcami na grzbiecie pocwałowała do lasu, gdzie ich zabiła.

Gdy małam wyszedł z meczetu, nie zobaczył już ani chłopców, ani hieny. Tak to było i taki jest koniec bajki.

O KOZIE, CO PRZECHYTRZYŁA HIENĘ

Pewien człowiek ożenił się z kozą i miał z nią dwoje dzieci. Zazwyczaj koza z mężem codziennie szła w pole, gdzie pracowali razem z dziećmi. Tak było przez długi czas. Jednak pewnego razu do człowieka przyszła hiena i zapytała: „Głupcze, czyż nie wiesz, jak smaczne jest mięso kozy”?! Gdy człowiek przytaknął, hiena rzekła: „Człowieku, złapmy i zarżnijmy ją. I ty będziesz miał przyjemność, jedząc smaczne mięso”.

Rozmowę hieny i ojca podsłuchał jednak syn kozy, który poszedł w pole i rzekł do matki: „Posłuchaj, o czym mówił ojciec z hieną! Hiena powiedziała ojcu, że mięso kozy jest smaczne, i radziła mu, żeby ją ukrył w stodole, gdzie cię oboje złapią. Gdy przyjdiesz do domu, nie wchodź do stodoły”.

Gdy nadszedł wieczór, koza naląła miodu do *kalebasy*² i poszła z nią do domu. Skoro tylko zjawiała się w domu, mąż posłał ją do stodoły. Koza odmówiła. Gdy mąż nalegał, polecając, aby przyniosła mu ze stodoły zimnej wody, ona dała mu miodu. Mąż wypił i bardzo mu smakowało. Zaciekawiony zapytał: „Co to za napój”? Na to koza odpowiedziała: „Nie wiesz? To przecież krew hieny”!

Hiena, usłyszawszy tę odpowiedź, szybko uciekła.

O LISIE I HIENIE

Pewnego razu lis, czując wielkie pragnienie, poszedł do studni, aby napić się wody. W studni wisiał sznur z dwoma wiadrami. Lis wlaź do górnego wiadra, zjechał w dół i napił się wody. Nie mógł jednak wydostać się na górę. Tymczasem do studni przyszła hiena — spojrzała w dół i ujrzała w wodzie swe odbicie. Gdy nachyliła się ponownie, ujrzała na dnie lisa. Wtedy zapytała: „Lisku, co

² *Kalebasa* — tykwa, oczyszczona z pestek, używana jako naczynie i zazwyczaj rzeźbiona w różne desenie.

tam robisz na dzień”? Lis odpowiedział: „Właśnie zjadłem połówkę masła, a drugą połowę zostawiłem dla ciebie. Chodź i weź ją sobie”. Hiena zapytała: „Jak się tam dostać”? Lis poradził: „Siądź do wiadra”! Hiena usiadła i zjechała w dół, a lis w drugim wiadrze pojechał w górę. W ten sposób lis wydobył się ze studni, zostawiając w niej hienę na męki i cierpienia.

Tak bywa zawsze, ilekroć chytręgo spotka nieszczęście: chytry się wywinie, okłamując prostaka, który za niego cierpi.

LEW, LIS I HIENA

Pewnego razu lew, lis i hiena zawarli umowę o wielkiej przyjaźni. Wczesnym rankiem trzech przyjaciół wyruszyli do dalekiego lasu na polowanie. Gdy upolowali osła, zającą i antylozę, lew rzekł do hieny: „Rozdziel zdobycz między nas”. Hiena odrzekła: „To łatwa sprawa: osioł tobie, zając należy się lisowi, a antylopa mnie”. Gdy to powiedziała, lew skoczył na nią i urwał jej głowę. Następnie zwrócił się do lisa: „Widziałeś pomyłkę swego przyjaciela, więc teraz powiedz, co ty o tym sądzisz”. Lis odpowiedział: „Ty jesteś głową pustyni, osła spożyjesz na śniadanie, antylopa będzie dla ciebie potrawą na kolację, a zającą zjesz w międzyczasie”. Wówczas lew zapytał lisa: „Kto cię nauczył takiego rozsądku”? Lis odparł: „Nauczyła mnie głowa hieny, którą ty oderwałeś od szyi”.

O HIENIE I MAŁPIE

Pewnego razu hiena wpadła do bagna, gdzie przeleżała trzy dni, nie jedząc i nie pijąc. Trzeciego dnia przysła nad bagno małpa. Wówczas hiena zaczęła prosić, aby jej pomogła wydostać się z grzęzawiska. Małpa odmówiła mówiąc, że jeżeli wyciągnie hienę, to ta ją zje. Hiena zaprzysięgła, że tego nie zrobi. Gdy jednak małpa wyciągnęła ją z błota i poprosiła, aby ją hiena puściła, ta odmówiła oświadczając: „Jak mogę to zrobić, jeżeli trzy dni nie jadłam”. Wtedy wysunęła się z nory ziemna wiewiórka i zawołała: „Poczekajcie chwileczkę! Ja rozsądzę wasz spór”. Zaskoczona hiena puściła małpę. Obok nory wiewiórki rosło wielkie drzewo. Wiewiórka wskazując na nie powiedziała do małpy: „Spójrz w górę, czy widzisz to wysokie drzewo”? Wówczas małpa wskoczyła na drzewo, a wiewiórka ukryła się w norze. Małpa siedząc na drzewie zaczęła krzyczeć: „Oto ona! Ona jest tutaj, tutaj”! Zaniepokojona hiena zapytała małpy, dlaczego tak krzyczy. Małpa odrzekła: „Jacyś ludzie chodzą z kagańcami i szukają hieny. Chcą ją odprowadzić do *sarki*”³. Gdy przestraszona hiena uciekła, wiewiórka wylazła z nory, a małpa zeskoczyła z drzewa i obie zaczęły się z niej śmiać.

³ *Sarki* — wódz, starosta.

O CZŁOWIEKU — NIEWOLNIKU ALLAHA

Chłopcy codziennie chwyтали w lesie jaszczurkę i przynosili ją pewnemu człowiekowi — niewolnikowi Allaha. On zaś płacił im za nią, a potem wypuszczał na swobodę.

Rankiem chłopcy znowu rozpoczynali pogoń za stworzonkiem, chwyтали je i przynosili do niego, aby otrzymać pieniądze. Człowiek ów brał od nich jaszczurkę, płacił i znowu wypuszczał ją na wolność. Historia ta ciągnęła się bardzo długo. Jednakże pewnego razu jakiś inny niewolnik Allaha przywiązał jaszczurkę do jego domu. Gdy ów człowiek wyszedł na drogę, jaszczurka zawołała nań trzy razy. Obejrzał się, lecz nie zobaczył nikogo. Jaszczurka znów go zawołała i wówczas człowiek odpowiedział na jej wołanie. Spytała: „Człowieku, powiedz, dlaczego zawsze gdy chłopcy mnie złowią i przynoszą do ciebie, ty zabierasz mnie od nich i płacisz im pieniądze”? A człowiek odpowiedział: „O jaszczurko, jesteś niewolnicą Allaha i ja jestem niewolnikiem Allaha”. Wtedy jaszczurka powiedziała: „Dobrze, wynagrodzę cię za to. Podrap swoje ucho moim ogonem, a będziesz rozumiał mowę wszystkich stworzeń na świecie: i kozy, i barana, i krowy, wszystkich!”. Człowiek odpowiedział: „Dobrze, rozumiem”. Chwycił jaszczurkę za ogon i podrapał nim swoje ucho. Następnie odwiązał ją i puścił na wolność. Od tego czasu, gdy mówiła coś koza — rozumiał, gdy mówił baran — też go rozumiał.

Pewnego razu człowiek ten miał jechać na targ. Zrobił odpowiednie przygotowania i pojechał handlować. Na targu kupił krowę. Gdy szedł z nią, krowa zaczęła mówić do siebie w ten sposób: „Człowiek nie rozumie języka krów, a tymczasem mijamy miejsce, gdzie znajduje się złoto”. Człowiek usłyszał to, zrozumiał, rozejrzał się dookoła i rzeczywiście znalazł złoto. Zabral je i włożył między swoje rzeczy. Gdy przeszli jeszcze szmat drogi, krowa powiedziała: „Człowiek nie rozumie języka krów, a w tym miejscu znajduje się srebro”. Człowiek jednak zrozumiał. Rozejrzał się, znalazł srebro i zapakował je do swoich rzeczy. Krowa powiedziała: „Jestem krową, lecz każdy kto mnie zarznie — umrze natychmiast”. Człowiek ów zrozumiał i to. Odwiązał sznur z szyi krowy i puścił ją do lasu, mówiąc: „Idź, krowo, dokąd chcesz, bardzo ci dziękuję za wszystko”. W ten sposób człowiek ów uwolnił krowę.

BAJKA O LWIE I LAMPARCIE

Pewnego razu lew walczył z lampartem. A było to tak.

Lew upolował zwierzynę, złożył ją w jednym miejscu i poszedł załatwiać inne sprawy. Po pewnym czasie przyszedł na to miejsce lampart i znalazł zwierzynę, której nikt nie pilnował. Lampart był głodny, dopadł więc zwierzyny i zaczął ją pożerać. Wtem wrócił lew i rzucił się na lamparta. Rozpoczęli walkę. W tym czasie obok miejsca ich walki przechodziła hiena bardzo się spiesząc,

nic nie powiedziała walczącym. Siedząca na drzewie czerwono-noga kuropatwa, zobaczywszy hienę zawołała: „Hej, hieno! Widzisz jak walczą potężni, dlaczego nie rozdzielisz ich, tylko przechodzisz mimo”? Hiena, nie zatrzymując się i nie odpowiadając dalej podążała swoją drogą. Wówczas lew głośno zaryczał: „Hej ty, hieno, wróć!” Hiena wróciła się i powiedziała: „Zostawcie mnie w spokoju, i ty lwie i ty lamparcie, jesteście obydwaj potężni i walka wasza jest potężna. Któż oprócz głupca czy wariata zechce mieszać się do niej”? Lwu pochlebilo to bardzo. Podskoczył z radości i poszedł spokojnie swoją drogą. Lampartowi też to pochlebilo — także podskoczył z radości i także poszedł swoją drogą. Nie prędko się znów spotkają. Hiena też poszła swoją drogą. Tak to było!

BAJKA O ŹRÓDLE ŁADI

Pewien myśliwy zbudował sobie dom pośrodku lasu. Gdy umarł, jego dzieci pozostały samotne. Mieszkały one nadal w domu myśliwego. Chłopiec idąc na polowanie zostawiał swoją siostrę samą w domu. Co rano zabierał narzędzia do polowania i odchodził, a dziewczynka zamykała się w domu. Gdy brat wracał, wołał: „Fatsimata, Fatsimata, Magira, otwórz drzwi, abym mógł wejść, Magira, otwórz drzwi, abym mógł wejść”. Postępował w ten sposób zawsze, ilekroć wracał z lasu do domu. Słowa te podsłuchiwała hiena. Pewnego razu, gdy chłopak poszedł do lasu, podkrađła się do drzwi i zawołała: „Fadžimata, Fadžimata, Madzija, otwórz drzwi, abym mógł wejść, Madzija, abym mógł wejść, Madzija”. Lecz dziewczynka powiedziała: „Nie, nie otworzę, poznaję cię, tyś hiena”. Hiena poszła wówczas do lwa, aby pożyczyć specjalny przyrząd do naśladowania języków. Powróciła z nim do domu dziewczynki i zawołała: „Fatsimata, Fatsimata, Magira, otwórz drzwi, abym mógł wejść, Magira, otwórz drzwi, abym mógł wejść”. Gdy dziewczynka otworzyła drzwi — hiena chwyciła ją i połknęła. Wieczorem wrócił brat dziewczynki. Stojąc przy drzwiach domu zawołał: „Fatsimata, Fatsimata, Magira, otwórz drzwi, abym mógł wejść, Magira, otwórz drzwi, abym mógł wejść”. Nikt jednak nie odpowiedział. Chłopiec powtórzył hasło, ale znowu nie było odpowiedzi. Tak wołał trzy razy. Potem wyważył drzwi i wszedł, ale siostry nie znalazł w domu. Wówczas wziął *kalebasa*, wyszedł z domu i poszedł w świat. Po drodze ujrzał norę hieny. Przed norą leżała odzież jego siostry. Chłopiec zrozumiał wtedy, kto ją porwał i oddalił się od nory.

W okolicy tej znajdowało się źródło, w którym wszystkie zwierzęta piły wodę. Nazywało się ono Ładi i było jedynym źródłem w okolicy. Chłopiec poszedł do źródła ze swoją *kalebasa*. *Kalebasa* jego była niezwykła i magiczna. Przy jej pomocy chłopiec wyczerpał całą wodę ze źródła. Następnie sam wdrapał się na drzewo i usiadł na nim. Tymczasem do źródła przyszedł tabun słoń, które chciały napić się wody. Chłopiec zapytał jednego z nich: „Dokąd idziesz słońiu”? Słoń odpowiedział: „Idę do źródła Ładi”. Myśliwy zaś rzekł: „Źródło

Ładi wyszło, ale jeżeli dasz mi tego, kto zjadł moją siostrę, spowoduję powrót wody do źródła". Słoń wypluł jedzenie, które zjadł w ciągu dnia i powiedział: „Heb! Spójrz na to, co zjadłem! Heb! W moim wnętrzu został tylko żołądek”. Następnie słoń odszedł na bok i położył się na ziemię dysząc ciężko.

Przyszło stado bawołów. Chłopiec zapytał jednego z nich: „Bawole, dokąd idziesz”? Bawół odpowiedział: „Idę do źródła Ładi”. Chłopiec rzekł: „Źródło wyszło, ale jeżeli mi dasz tego, kto zjadł moją siostrę, spowoduję powrót wody”. Bawół wypluł jedzenie i odpowiedział: „Heb! Spójrz, co ja zjadłem, we wnętrzu mym został tylko żołądek”.

Każdemu stadu zwierząt, które przychodziło, zadawał podobne pytanie i wszystkie odpowiadały w ten sam sposób. Następnie odchodziły na brzeg wyschniętego źródła i kładły się tam ciężko dysząc.

W ten sposób przed chłopcem przeszły stada wszystkich zwierząt. Pozostało tylko stado hien. Nadeszły hieny. Na przedzie stada szła hiena, która zjadła jego siostrę. Była bardzo spragniona. Chłopiec zapytał ją: „Dokąd idziesz”? Ona odpowiedziała: „Idę do źródła Ładi”. Chłopiec rzekł: „Źródło Ładi wyszło ale jeżeli dasz mi tego, kto zjadł moją siostrę, spowoduję powrót wody”. Milczenie. Chłopiec powtórzył to samo trzy razy, ale ona nic nie odpowiedziała. Wówczas lew rozżościł się, chwycił hienę i rozerwał ją na dwie części. Z hieny wyszła dziewczynka. Wtedy lew powiedział do chłopca: „Masz swoją siostrę”. Chłopiec zwrócił wodę źródłu, gdyż siostra jego była żywa. Dookoła źródła zrobił się straszny tłok. Wielkie zwierzęta deptały małe. W ten sposób zginęło wiele zwierząt. Chłopiec zbierał mięso, które całymi stosami leżało dookoła. Zbierał tak długo, aż się zmęczył. Wtedy poszedł do pobliskiego miasta, prosząc o pomoc. Ludzie z miasta także nie mogli zebrać wszystkiego. Tak to wszystko było.

Z hausa przełożyła
Nina Pilszczikowa